

POSPIESZALSCY RÓDZINA

MARCEL

WOŹNIAK

MARGINESY

Książka powstała we współpracy z rodziną Pospieszalskich, która z życzliwością i otwartością wyraziła zgodę na jej powstanie i publikację. Członkowie rodziny udzielili cennego wsparcia merytorycznego i emocjonalnego w trakcie rozmów, zbierania dokumentacji oraz utrwalania wspomnień, za co wydawnictwo Marginesy oraz Marcel Woźniak składają serdeczne podziękowania.

COPYRIGHT © Jan Pospieszalski
COPYRIGHT © Marcin Pospieszalski
COPYRIGHT © Mateusz Pospieszalski
COPYRIGHT © Marcel Woźniak

THIS EDITION © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

*Pamięci naszych Rodziców –
Donaty i Stanisława Pospieszalskich*



INTRO

Dźwięki kroków, szelest butów lądujących na bujnej, nieskoszzonej trawie. Słońce wisi wysoko, jest lato, a to jest pole biskupa; biegnie po nim rodzeństwo Pospieszalskich.

Miało być ich tyle, ilu apostołów, dwanaścioro. Stanisław i Donata tak postanowili i już. Ostatecznie na przestrzeni szesnastu lat urodziła się dziewiątka, każde przyszło na świat w domu na Barbary.

Gdy pytam Mateusza o rodzeństwo, ściska go w gardle. Sam też marzył o wielkiej rodzinie. Kiedy starszy brat Karol, biegnący na zdjęciu w pasiastej koszulce, dorobił mu klucz do nieużywanej szuflady, niczym w powieści *Tam, gdzie spotykają się wszystkie światy* Whartona, miał „Unio” w dziurce od klucza cały wszechświat kamyków i ołowianych żołnierzyków, jedyną przestrzeń należąca tylko do niego. Za trzydzieści lat zagra na saksofonie hymn Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Za pięćdziesiąt – zaśpiewa na Przystanku Woodstock dla kilkuset tysięcy osób. To on wpadnie na pomysł rodzinnej książki. Ale teraz biegnie ze skrzypcami w dłoni, nieświadomy przyszłości.

Po lewej starszy o dekadę Janek zwany Janurkiem. Zaraził braci Hendrixem, pocztówkowej płyty z *All Along the Watchtower* słuchali tak długo, aż się rozpadła. To on przyniósł do mieszkania pierwszą gitarę – Stachu roztrzaskał mu ją na głowie. Poszły w ruch szelki, poleciał zyrandol. Ale muzyka był silniejsza: Donata od zawsze grała im na pianinie, a pod oknami ich domu latami przechodziły pielgrzymki i orkiestry – mieszkali przecież przy kościele Świętej Barbary w Częstochowie.

Kiedy w ich mieście żartowano, że Pospieszalscy powinni założyć własną drużynę piłkarską, oni powołali do życia zespół muzyczny. Stachu zaczął pisać polskie teksty do piosenek The Beatles, a dzieciaki występowały – w klubach studenckich, na festynach. Przyjechało radio, cała Polska usłyszała o Pospieszalskich w reportażu *Kłopoty z dziewiątką*. Gdy reporterka Maria Rosa-Krzyżanowska spytała Donatę, jak ta radzi sobie z tą gromadą dzieci, odpowiedziała, że wcale sobie nie radzi. Bo były rozbiegane i głośne – jak na tym zdjęciu. W noc sylwestrową 1974/1975 grali już koncert przed całym krajem, na antenie Telewizji Polskiej. Sami nie zobaczyli ani kawałka, bo nie mieli wtedy w domu telewizora. To dlatego w *Studiu 2* u Bożeny Walter nie rozpoznali Andrzeja Kopiczyńskiego, gwiazdy *Czterdziestolatka*, najpopularniejszego serialu w kraju.

Długowłosy, uśmiechnięty Janek ze zdjęcia nie wie jeszcze, że za kilka lat zagra w Czerwonych Gitarach, że sam zostanie gwiazdą telewizji. Ani że przeżyje rodzinny dramat. Nie wie nic – jest tylko nastolatkiem, ciągnie go na miasto, w stronę bigbitu.

Antek, najstarszy, leży wśród traw. Właśnie w pięć godzin namalował perfekcyjną kopię Rembrandta, ale to w niego bracia i siostry patrzą jak w obraz. Za kilkadziesiąt lat przyśle im wycinek „New York Timesa” – jego zdjęcie przy pracy nad konserwacją arcydzieł w USA.

Marcinek, chłopiec z prawej, pisze listy do „Świerszczyka”. Redakcja odpowiada: „pomagaj mamie!” W wolnych chwilach zakrada się z Mateuszem do kościoła, gdzie ćwiczą grę na organach, wykręcając gigantyczne rachunki za prąd. Za kilkadziesiąt lat będzie dyrygować orkiestrami.

Latem, gdy dnieje, budzą ich dźwięki pielgrzymek, który przybyły do źródła z cudowną wodą – to tutaj rabusiom upadł na ziemię obraz Matki Boskiej w XV wieku i dlatego popłynęła cudowna woda. Karol zakocha się w dźwięku trąb i po pięćdziesięciu latach sam stanie na czele orkiestry. Paweł, najwyższy na zdjęciu, tak się w nich zaślucha, że raz pójdzie za muzykami aż na cmentarz. Potem ucieknie do Ameryki. Zostaną wspomnienia: licealna ławka dzielona ze Staszkiem Sojką, koncerty z Ireną Jarocką.

Joanna, dziewczyna o blond włosach, lada dzień wyjedzie do Francji. Zostanie malarką, nigdy nie wróci. Ela, ukryta za plecami „Unia”, trafi do Australii, gdzie będzie pielęgniarką – jakby chciała spłacić dług za to, że

nie mogła otoczyć opieką starzejących się rodziców. Na fotografii brakuje Tereski. Dwunastoletnia, ciemnowłosa dziewczynka o magnetycznych oczach, zapadnie na nieznaną chorobę. Po latach, wbrew ograniczeniom ciała, napisze wiersz o tym, by pozwolono jej zawsze pozostać samodzielą. Opieka nad nią zespoli rodzeństwo na zawsze. Tragedia stanie się błogosławieństwem.

Słońce tego dnia zajdzie późno, trwa lato. Wieczorem Marcinek zaśnie na stole, który co noc rozsuwa się pod nim jak akordeon. Mateusz podkurczy nogi w drabiniastym łóżeczku. Karol doczyta *Przygody Tomka Sawyera*. Paweł powtórzy angielskie słówka. Ela, Tereska i Joanna schowają się w swoim kącie za szafą. Antek pójdzie spać do babci, a Janek wróci najpóźniej, z bigbitem w uszach. Dom uśnie dopiero, gdy nikogo nie będzie brakować.

Ale na zdjęciu wieczór nie nadchodzi. Pędzą przez pole biskupa, zatrzymani w pół kroku. Nie wiedzą jeszcze, że ta chwila, ten kadr, będzie początkiem legendy. Ani że niektórych z nich los tak bardzo rozdzieli od pozostałych. Obiektyw kieruje na nich kolega Janka, Jurek Kromołowski. Ten za kilkadziesiąt lat będzie w Hollywood pisał scenariusze dla Jacka Nicholsona czy Tommy'ego Lee Jonesa.

Rodzina Pospieszalskich nie wie, jak niezwykła przyszłość ich czeka. Odbitka jednocześnie zapisuje ich teraźniejszość i zwiastuje ich przyszłość, trzymając przecież muzyczne instrumenty, które zdefiniują ich życie.

4. MUZYKUJĄCA RODZINA

MSZE BIGBITOWE

Stanisław Pospieszalski w filmie *Pospieszalscy, cz. 1. Nisko latające anioły* mówi:

– Wielka wrzawa wokół Beatlesów, Rolling Stonesów. W domu ciągle szedł jakiś mikrofon, jakieś nagrania. Odrabianie lekcji leżało, więc zaczęła się wojna. Tu na tych kilku metrach próby opanowania jakiegokolwiek sytuacji były niemożliwe. Strasznie wtedy zmałał autorytet rodziców i dzieci zaczęły iść różnymi drogami.

Pod koniec lat sześćdziesiątych w Częstochowie na Jasnej Górze kapela rockowa przygrywa do mszy.

Nabożeństwa z hipisowskim akompaniamentem najpierw odbywają się w mniejszej kaplicy pod Jasną Górą, potem w głównym kościele, w Halach Świętego Józefa. Przy ołtarzu stoją gitarowe piece, jest też perkusja, są gitary elektryczne i bas. Pieśń *Baranku Boży* grana jest do melodii z *Jesus Christ Superstar*, rock opery, która pod koniec 1969 roku pojawia się na płycie, a cztery lata później jako film.

W Częstochowie jest jedno mocne muzyczne środowisko. Krzywański (ale nie ten od Republiki), bracia Węgrzynowie, Nonek Marczyk i Heniek Pęc. Janek Pospieszalski też zaczyna się na Halach pojawiać. Częstochowa w przyszłości wyda na świat wielu muzyków. Czy to przypadek, że stąd pochodzi genialny skrzypek Bronisław Huberman?

ALL ALONG THE WATCHTOWER

There must be some kind of way out of here... – tak brzmi początek utworu Jimiego Hendrixa, którego tytuł sygnuje ten podrozdział. Paweł pamięta, że był w piątej klasie, kiedy Janek przyniósł do domu tak zwaną pocztówkę grającą z *All Along the Watchtower* właśnie – przeróbką piosenki Boba Dylana w wykonaniu Hendrixa.

Kiedy puszczają tę płytę, w historii Pospieszalskich zaczyna się nowy rozdział. Hendrix, będący wtedy u szczytu swojej krótkiej kariery, wyciska z gitary niemożliwe elektryczne dźwięki. Chłopcy nie znają jeszcze angielskiego, więc nie rozumieją tekstu. Według licznych interpretacji Dylan inspirował się Księgą Izajasza, pisząc o łotrze i błaznie, którzy oczekują na koniec świata. Ale zaraz po dwóch zwrotkach znów rozbrzmiewa kosmiczna gitara Hendrixa, odjazdowe flażolety, a potem kaczka, wszystko do rytmu łomoczącej w tle perkusji bijącej „na raz”, basówki i tambury.

Hendrix rozbrzmiewa całymi dniami, słysząc go na zewnątrz przez pootwierane okna. Chłopcy znają na pamięć każdy dźwięk, choć nie znają jeszcze nut, znają każde słowo, choć na razie śpiewają w języku „lenghldź”, czyli fonetycznie. Słuchają płyty do upadłego, aż krążek rozpada się na kawałki. Pamiętką po nim zostaje kotka, której dają na imię Dżima.

Ktoregoś razu do tonącego w transmisji radiowej mieszkania wchodzi jedna z pomocy domowych, pani Chojnacka z „Bytumia”, jak sama mówiła, i pyta chłopców:

- Kto wygrał?
- Rolling Stones! – odpowiadają zgodnie.
- Bogu dzinka!

CHŁOPAK Z GITARĄ

Więc Janek coś długo nie wraca.

– Bo był buntownikiem – wspomina Ela. – Chodził do siódmej czy ósmej klasy. Ubierał się niezwykle, wszyscy wtedy szyliśmy sobie ubrania albo czapki. Janek miał tyle talentów, *visual arts*, malowanie obrazów, śpie-



Buntowniczo usposobiony nastoletni Janek
coraz bardziej fascynował się bigbitem

wanie, szycie. Do tego miał wielką charyzmę, onieśmielał kolegów. Lubił mieć wokół siebie ludzi, a ludzie lubili jego. Taką miał osobowość.

Najstarsze dzieciaki urywają się wtedy z domu, chodzą po mieście, palą papierosy, opuszczają się w nauce, a włosy odwrotnie: zapuszczają.

Stachu krzyczy raz na Janka:

– Kiedy obetniesz włosy?!

– Po świętach! – odpowiada Janek.

– Ale po których?!

Karol wspomina:

– No cóż, Janek był pierwszym, który tak... poważniej tatę denerwował.

Joanna przyznaje, że z buntu Janka płynęło dla niej sporo korzyści.

– Często wychodziliśmy razem, Janek miał wielu starszych kolegów i to była gwarancja dla rodziców, że będę bezpieczna. Obecność Janka była moim alibi, a moja – jego.

Chłopaki coraz bardziej fascynują się bigbitem, muzyką gitarową, idolami. W kamienicy na wprost plebanii ich kolega ma suterrenę, a w niej sprzęt do słuchania muzyki i nagrania – Niemena, Hendrixa.

Stachu zrzuca na ziemię portret Lennona namalowany przez Antka, krzycząc:

– To są jakieś... to są jakieś... szmiry!!

W tamtym czasie obrazy Antka są w klimacie pisma „Ty i Ja”, które chłopak prenumeruje.

Ale Antek nie słucha ojca. Niedługo potem maluje podobizny członków zespołu The Beatles na kaskach i jeździ w nich z chłopakami na złożonej przez Karola WFM-ce. Antek ozdabia też ramę motoru. A za pięćdziesiąt lat pomaluje auto pary młodej, Natalii i Łukasza (syna Mateusza i Izki), wyruszającej w podróż poślubną. Wtedy to będą anioły, ale teraz są to płomienie. Pospieszalscy. Od Giotta po Lennona. Wspomniany Łukasz także będzie składać, tyle że nie motocykle, lecz skutery Vespa... Ale nie uprzedzajmy!

Stanisław Pospieszalski miał nieco inne niż synowie zdanie:

Z natury rzeczy artyści z prawdziwego zdarzenia dają w pewnym sensie odpowiedź na pytanie: „co się winno podobać” – w swoich dziełach. Bronią się przed namowami, by tworzyli dzieła łatwo „podobające się” (a więc pokupne), mimo że zmiana artystycznej postawy poprawiłaby ich skąpą bazę materialną.¹²

Co więc winno się podobać? Zdaniem Stanisława: z pewnością muzyka klasyczna, a nie bigbit!

Sprawy w domu Pospieszalskich coraz bardziej wymykają się spod kontroli, aż w końcu dochodzi do sceny z gitarą. Kiedy Janek po raz kolejny wraca późno do domu, ojciec wyrывa mu instrument i roztrzaskuje go synowi na głowie. Zaczynają się szamotać, lądują na tapczanie.

Do tej historii o gitarze każde z rodzeństwa dopowiada coś innego. Według Pawła to była własnoręcznie zrobiona gitara elektryczna. Według Eli – kupiona, dwunastostrunowa. Karol wspomina, że Janek przyniósł ją z którejś mszy bigbitowej. Antek pamięta za to, że ojciec zdjął szelki i chciał Janka nimi prac, ale jak się zamachnął, to stłukł wazon.

LEPSZE ZBITE NIŻ ZABITE

Ela:

– Każdy z nas widzi przeszłość inaczej, bo każdy był w innym wieku, dorastał w innym momencie. Bardzo cierpiałam, kiedy tata karmił moje rodzeństwo. Pamiętam spódniczkę Joanny, pamiętam jej krój i kolor. I pamiętam księży, którzy przyszl na skargę, że spódniczka była za krótka. Czy ja ojca za to [podejście] winię? Nie. Babunia Pospieszalska mawiała: „lepsze zbite niż zabite”. Takie wychowanie. Czy ja babunię za to winię? Nie. Wujek Antoni też mi opowiadał o tej metodzie wychowania przed wojną... Jako siedemnastolatka miałam pierwszego chłopaka. Któregoś razu ponoć tak długo, za długo, stałam z nim pod domem, że tata go przegonił, a mi nie pozwolił się z nim więcej spotykać.

Ela przywołuje też scenę z gitarą roztrzaskaną przez ojca.

– Ten instrument był dla Janka tak ważny. Dopiero kiedy powstała Niedzielną Szkółka Ojca Stanisława, tata zaczął być przychylniejszy tym muzycznym harcom. Ostatni raz od ojca dostałam lanie, jak już byłam na studiach. Byłam na AGH, uzyskałam stypendium. Po tym powiedziałam mu, że więcej do domu nie wrócę i że grosza od nich nie wezmę. I nie wzięłam. Wrócić jednak, potem, musiałam.

HUKI

Rok 1970. Janek złapał gdzieś świnkę. Siedzi sam w pokoju już od kilku dni, jakieś bańki, penicylina. Bierze gitarę, zaczyna wydobywać z niej dźwięki. Melodię *All Along the Watchtower* na Barbary wszyscy znają na pamięć. Przybiegają zaraz Paweł i Karol, może wyciskali drewnianą sztan-gę na podwórku, a może gdzieś gonili, ale teraz ścigają się, kto pierwszy będzie u Janka. Uczą się pierwszych chwytów.

Kilka dni później w domu są już – jakimś sposobem! – dwie gitary, Paweł z Karolem zawsze się ścigają, kto pierwszy do nich dopadnie. Paweł



Muzyczne szaleństwo na Barbary zaczyna się, gdy chory na świnkę Janek z nudów zaczyna grać na gitarze

uczy kilku chwytów Marcina, który najpierw śpiewał fonetycznie *Hey Jude*, grając na atrapie instrumentu, ale zaraz sięgnie po prawdziwy instrument. A jak już są dwie gitary, to przyjeżdża Antek i robi zestaw perkusyjny domowej konstrukcji: krzesła i szuflady to bębny, z poduszki da się zrobić centralę. W końcu z każdego z tych przedmiotów można wydobyć jakiś dźwięk, wyższy lub niższy. Można jeszcze wziąć talerze czy miski, jedna będzie brzmieć jak hi-hat, druga jak chiński gong. A kiedy są dwie gitary i bębny, Mateuszek chce się przy pianinie. Janek sadza go na poduszkach, żeby sięgał do klawiatury, kładzie mu palce na trójdźwięku do-mi-sol. Donata, widząc, że Terenia nie ma na czym grać, mówi:

– Dajcie jej łyżeczkę i słoiczek!

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Zanim poszedłem do szkoły – wspomina Janek – nie wiedziałem, co to tonacja ani akord durowy, ale wiedziałem, że to idzie tak. – Tu wskazuje palcami na stole. – Tłumaczyłem Mateuszowi, że to rodzinka akordów, te triady. Nie wiedziałem, czym jest subdominanta czy coś takiego, tego dowiedziałem się już w szkole.

Próby urządzają w „pokoiku” rodziców. Janek szybko się orientuje, że bracia są zdolniejsi niż niektórzy jego koledzy, którzy próbują na mieście bigbitu. Marcin dopiero co wziął gitarę od Pawła, a już zna ze trzy chwyt. Kolejne dźwięki z pianina wydobywa Mateuszek. Janek zrywa się z łóżka i krzyczy:

– Zakładamy zespół!

Pierwszą basówkę, załatwioną gdzieś od znajomych Janka, podłącza ją najpierw do radia, ale jakoś za cicho gra, więc Antek kupuje pierwszy wzmacniacz, dużą kolumnę, a potem lampówkę na górę. Kompletnie szaleństwo, odjazd i czad!

Chłopcy od zawsze robili rzeczy razem, czasem w mniejszych grupkach, z racji wieku i podobnych zainteresowań, a czasem w pełnym składzie, z rodzicami, z rodziną, przy okazji wszelkich uroczystości, świąt. Więc teraz grają, ile wlezie, ku niezadowoleniu choćby księdza Jackowskiego. W tym harmidrze i bałaganie wszyscy funkcjonują w jednym pokoju, nic się nie zmieniło! Jest pokój rodziców z pianinem i jest pokój dzieci z piernatami, łózkami i stołami. Kiedy przychodzą goście, rodzice zawsze



Nowo założony bigbitowy zespół Pospieszalskich
z wizytą u proboszcza Frydrycha

zamykają drzwi, żeby nie było widać tego bałaganu. Ale dźwięków wytłumić się nie da...

Ziuta, czyli Józka, czyli Józefa Krupa. Nie mieszka z Pospieszalskimi, ale przychodzi do pomocy, kiedy kończy pracę w hucie. Jest osobą samotną, wszędzie chodzi pieszo, bo w autobusie kręci się jej w głowie. Kiedy wszyscy ćwiczą w domu po kątach, Ziuta, sprzątając, mówi:

– W robocie huki i tu huki...

A Pospieszalscy jeszcze zimą tego samego roku przychodzą do proboszcza Frydrycha ze swoją domową orkiestrą, co uwiecznione zostaje na szalonym zdjęciu.

Z czasem także kolędy staną się ich poligonem doświadczalnym. Swoje wersje nagrywać będą na magnetofon Grundig. Do świątecznej tradycji wspólnego kolędowania dojdzie jeszcze element aranżacyjny. I tak wyjątkowe święta u Pospieszalskich, jasełka i marzenie Donaty o grupie teatralnej nabiorą nowej mocy.

Janek wspomina w książeczce dołączonej do płyty *Kolędy Pospieszalskich* z 1993 roku:

Cały scenariusz to kolędy ułożone w historii od Zwiastowania do pokłonu króli, śpiewane przy akompaniamencie pianina mamy. Potem z czasem dołączały nasze instrumenty. Oprócz nich przynosiliśmy swoje sposoby grania, interpretacje, pomysły. To się rozwijało naturalnie wraz z nami. Teraz pomagają nam nasze dzieci, które jak my czekają na Aniołka i na pewno na Dziadka Mroza się nie nabiorą.¹³

JEDEN INSTRUMENT

Irena, chrzestna Marcina:

– Zwykle dzieci szły do komunii w maju, ale Marcin był chory i do komunii poszedł sam we wrześniu. Starsi chłopcy byli już nastolatkami: Antek, Janek, Paweł, Karol. Pamiętam, że w małym pokoiku... Tu się wchodziło z korytarza. Tu stał tapczan, tu szafa... A tu były drzwi do dużego pokoju. Pomiedzy nimi a oknem stało pianino. Chodziłam do szkoły muzycznej, a i oni grali na skrzypcach i bębnach... Pamiętam taką sytuację: siadam do tego pianina, ot tak, żeby zagrać pieśń *Agnus Dei*. I nagle Paweł chwycił wiolonczelę, Marcin skrzypce i już graliśmy wszyscy w jednej harmonii. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Byliśmy jednym instrumentem. To jest właśnie to... Jak u nas, na Krasinie, był okres gwiazdkowy, to choinka stała na pierwszym piętrze, obok fortepianu. I każdego dnia popołudniem ktoś, a było dużo ludzi, siadał do fortepianu i po prostu grał kolędy. I nagle ktoś przychodził z kuchni, ktoś z góry, ktoś z balkonu i śpiewaliśmy razem. Babunia Pospieszalska śpiewała po niemiecku. *Stille nacht, heilige nacht*... Albo *O Tannenbaum*. Ja długo nie umiałam *Cichej nocy* po polsku, śpiewałam ją z babunią po niemiecku... Miała piękny sopran i wyciągała to pięknie. Jakie to wszystko dziwne, wielokulturowe, a jednocześnie... to była część nas. Śpiewaliśmy zawsze wiele zwrotek. Te dwie czy trzy z kościoła to była nuda. Przychodzili znajomi, koledzy i wszyscy do nas dołączali. Kilka lat temu przyjechał bratanek męża, z Warszawy. Po świętach pytał: „Kiedy znowu będą kolędy?”. Podobnie koledzy syna z klasy. Jak są święta u Chmie-

lewskich-Dynowskich, to zawsze jest kolędowanie. Jak u Pospieszalskich. Mówiliśmy na to „muzykowanie na Krasinie”, tak było tam już przed wojną.

MARSZ PSA PLUTO

Mateusz jako dziecko nie może sięgnąć do klawiszy potrzebnych, by zagrać oktawę, jego lewa dłoń jest bez szans. Podgrywa więc prawą ręką. Do tego w pianinie brakuje białych klawiszy z kości słoniowej – dziury są w D, E, G i A. (A w ogóle to pianino, w fornirze z orzecha, przyozdabiają po bokach rzeźbione smocze pazury. Bał się ich, odkąd je zobaczył, dostrzegając w tych kształtach anioły i diabły – jakby mało biblijnych bytów było w ich domu!) Z czasem przyzwyczajają się i pamięta – po prostu – że C-dur powinno zaczynać się tam, gdzie urwany klawisz... że D jest pomiędzy tymi dwoma czarnymi... więc C jest z lewej...

Potem, zapisany do przedszkola muzycznego, będzie grać na pożyczonych stamtąd organach elektronowych Vermona. Kiedy zaczną mu się mylić dźwięki, bracia zamałują odpowiedni klawisz, żeby wiedział, gdzie zaczyna się gama C-dur.

I dzieje się tak, że wpada mu w ręce angielska książeczka, bajka o Psie Pluto. Przysłał ją wuj Antoni z Londynu. Mateuszek wertuje ją wte i wewte. Nagle jakiś błysk, nieuchwytna myśl, przeskok napięcia w mózgu, a może kombinacja tych zjawisk sprawiają, że po prostu zeskakuje z łóżka, idzie do pianinka i – wiedząc już, gdzie jakie dźwięki na klawiaturze się sprytnie ukryły – zaczyna grać melodię, swoją własną, nigdy wcześniej niesłyszaną melodię. Tytułuje ją *Marsz Psa Pluto*. To jego pierwsza kompozycja.

– *Marsz Psa Pluto* grany był w c-mol – wspomina z uśmiechem Mateo.
– Koniecznie chciałem objąć oktawę. Naciągnąłem sobie palce piąty i pierwszy na siłę, zaparłem się nimi, i ćwiczyłem tę oktawę w jednym tempie. Prawą ręką zacząłem improwizować.

Coraz częściej towarzyszy mu wtedy „natręctwo dźwiękowe”. Zeskakuje z łóżka, biegnie do pianina i wciska klawisze, żeby upewnić się, że cały czas pamięta, który dźwięk jest który. I tak w kółko.

Na lekcje chodzi do profesorów Ludomiry Grądzman i Andrzeja Klosia. Ale swego pierwszego *Preludium* Bacha uczy się pod okiem Donaty.



Mały Mateusz nie potrafi jeszcze objąć dłonią klawiszy potrzebnych,
by zagrać oktawę

POCHWAŁA ZGORSZENIA

W roku 1968 na łamach pisma „Więź” ukazuje się opowiadanie Stanisława Pospieszalskiego *Pochwała zgorszenia*. Właściwie to nie tyle opowiadanie, co kryminał hagiograficzny.

Kiedy jestem u jego syna Marcina i synowej Lidii latem 2024 roku, dopytuję o talenty Stanisława. Siedzimy przy dużym stole, dom w kształcie stodoły ma okno wysokie na dwie kondygnacje, które wychodzi na pola, w pokoju jest dużo światła.

– Tu były rozłożone rysunki, tu rękopisy. – Marcin jakby wskazuje niewidzialne przedmioty na stole. – Redukował i skreślał swoje rękopisy w nieskończoność. Jak to możliwe, że tak dobrze pisał? To pokolenie... to byli ludzie renesansu. Coś takiego było w tej Polsce przedwojennej, że w tak krótkim czasie tyle się ludzie mogli nauczyć. Tata znał grekę, łacinę, historię literatury, historię świata. Liceum Marcinkowskiego w Poznaniu...

Kryminał hagiograficzny *Pochwała zgorszenia* traktuje o kobiecie, która chcąc wstąpić do zakonu, kiedy nie było zgromadzeń żeńskich, przebrała się za mężczyznę. Jerzy Zawieyski w swoich dziennikach, które po jego śmierci ukażą się w „Więzi”, napisze, że to było świetne opowiadanie.

– Gdybyś zobaczył bibliotekę taty! – kontynuuje Marcin. – Był oczywiście Norwid, najbardziej ukochany, ale na dole historia cywilizacji, historia Imperium Rzymskiego, historia Grecji. Jako architekt plastik miał stopy albumów. W swoich opowiadaniach dużo rzeczy umieszczał na tle historii. Przy pisaniu był surowy wobec siebie, tak jak przy projektach. Tak długo opracowywał szczegóły, dopóki nie zredukował ich do tej formy, za którą brał artystyczną odpowiedzialność. Mało napisał? W międzyczasie zrobił tysiące projektów witraży. Ale to jego pierwsze opowiadanie to była faktycznie petarda.

Norwid z biblioteczki jest oczkiem w głowie Stacha. Esej Pospieszalskiego *Co się winno podobać o Promethidionie* chwala sam Kazimierz Wyka. Dowiedziawszy się, że napisał to architekt, powie:

– Oby tacy architekci rodzili się na kamieniu!

A Stachu pęcznieje wtedy z dumy, zupełnie nie przypuszczając, że powodowany koniecznością przerzuci się za chwilę na lirykę. Sam uwielbia

poezję. Obok Norwida jego ulubionym wierszem jest *Uczę się ciebie, człowieku* Jerzego Leberta. W przyszłości piosenka na nim oparta trafi na płytę Pospieszalskich. Album będzie się nazywać po prostu *Dom*.